

KRESY UTRACONE

Z ADAMEM HLEBOWICZEM, TOMASZEM ŁABUSZEWSKIM I PIOTREM NIWIŃSKIM ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Pojęcie „Kresy” jest specyficznie polskie, ale jego sens da się zapewne uogólnić. Kresy rozumiane jako terytorium pogranicza z inną kulturą czy religią są doświadczeniem również innych państw europejskich, które, podobnie jak Polska, musiały godzić się czasami z ich utratą. Nasza rozmowa dotyczy takiej właśnie sytuacji – ziem, które nie należą już do Polski, ale bardzo mocno istnieją w świadomości Polaków, z których część (mówi się czasami, że wręcz trzecia część) ma rodowód stamtąd się wywodzący.

BOGACTWO KRESÓW

A.H. – Kresy są z jednej strony pojęciem bardzo wygodnym, obejmującym swym zasięgiem ogromne terytorium, kilka krain, kilka współczesnych państw, z drugiej mocno zniekształcającym rzeczywistość. Bo przecież Wilno dla Litwy czy Mińsk dla Białorusi nie są kresami. Tak też było dla wielu pokoleń ludzi mieszkających na tych ziemiach przez stulecia, dla nich było to samo centrum. Wolę zdecydowanie pojęcie „ziemie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego”, choć jest ono dłuższe i obejmuje jedynie część terytorium określanego jako Kresy Wschodnie. Pojęcie Kresów zmieniało się przez stulecia. Za I Rzeczypospolitej nikt nie nazwałby Lwowa miastem kresowym, gdyż wówczas znajdowało się niemalże w centrum Polski. Kresami, krańcami były Smoleńsk, Orsza, Dzikie Pola. W okresie II Rzeczypospolitej używano jeszcze pojęcia „Dalsze Kresy” w odniesieniu do ziem oddanych Sowiecom w wyniku traktatu ryskiego. Mowa o Mińszczyźnie, Mohylewuszczyźnie – okolicach Berezyny przepięknie opisanych przez Floriana Czarnyszewicza, Wołyniu Południowym z Żytomierzem, wschodniej części Podola z głównym ośrodkiem w Kamieńcu Podolskim. W 1939 r. Kresami były województwa wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie, lwowskie. Warto przy tej okazji wspomnieć, że przed II wojną funkcjonowały także takie pojęcia jak Kresy Zachodnie w odniesieniu do Śląska czy Wielkopolski czy też Kresy Południowe odnoszące się do Spisza, Orawy, Zaozlia.

B.P. – Kresy odegrały znaczną rolę nie tylko w polskich dziejach. Przez te ziemie przeciągały rozmaite armie. Wiodące tędy szlaki miały charakter strategiczny, myślę tu o bramie smoleńskiej i wołyńskiej.

A. H. – Dzieje kilku stuleci dawnej Polski są ściśle związane ze Wschodem. Większość bitew XVI i XVII w., jakie toczyła Rzeczpospolita rozegrała się na terenach wschodnich: Kircholm to dzisiejsze przedmieścia Rygi, Psków to



Fot. Jan M. Ruman



Zamek w Kamieńcu Podolskim

zachodnie krańce Rosji, Chocim – znajduje się na pograniczu ukraińsko – rumuńskim. To ziemie, gdzie dawna Rzeczpospolita toczyła przez kilka wieków boje z sąsiadami. Największe znaczenie miała walka z Rosją. O wpływy, o ziemie, o rząd dusz. Rosja nie mogła znieść obok siebie tak wielkiego i prężnego sąsiada, jakim była pomiędzy XV a XVII stuleciem Polska, stąd próby a potem coraz skuteczniejsze poczynania w spychaniu Polski w kierunku zachodnim. To teren rywalizacji zachodniego katolicyzmu ze wschodnim prawostawiem. W kolejnych stuleciach, wraz z narastającym czynnikiem narodowym w życiu społeczeństw, religia rzymskokatolicka była coraz istotniejszym czynnikiem identyfikującym Polaków na tych ziemiach.

B.P – W czasach pokojowych wiele kresowych miast odgrywało ogromną rolę w handlu między wschodem a zachodem, północą a południem. Dobrą ilustracją tego zjawiska jest struktura narodowościowa kresowych miast – obok ludności rodzimej, Polaków i Żydów mieszkali w nich Ormianie, Niemcy, Rosjanie, Tatarzy. Obszar ten był bardzo zróżnicowany pod względem etnicznym, kulturowym i religijnym. A jednak – przy całej tej złożoności – Kresy miały bardzo silne polskie piętno.

A.H. – Truizmem jest twierdzenie, że większość wybitnych polskich twórców kultury urodziła się, wychowała lub zdobywała wykształcenie na dawnym obszarze Wielkiego Księstwa, dalekich ziemiach ukraińskich czy w Galicji Wschodniej. Prócz Mickiewicza i Słowackiego byli to m.in.: Moniuszko, Lelewel, Grottger, Fałat, Korzeniowski-Conrad, Szymanowski, Sienkiewicz, Marian Zdziechowski, Konopnicka, Orzeszkowa, Karpiński, Goszczyński, Mehoffer, abp Szczęśny Feliński.

B.P. – Odmienność struktury społecznej i narodowościowej powodowała, że Polska miała na tych obszarach w okresie II Rzeczypospolitej pewne specyficzne problemy do rozwiązania.

A.H. – Zaczniemy od struktury ludnościowej. Miasta zamieszkałe były przede wszystkim przez ludność polską i żydowską. Nawet w największych ośrodkach, takich jak Wilno czy Lwów, procent ludności odpowiednio litewskiej i ukraińskiej był bardzo znikomym. Inaczej przedstawiała się sytuacja na wsiach. Z wyjątkiem Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny na wsiach Polacy stanowili mniejszość, drastycznie wyglądała ta statystyka (na niekorzyść Polaków) w takich regionach jak Wołyń, Polesie czy ziemia stanisławowska. Polacy jednak byli na prowincji warstwą najbogatszą – posiadali majątki, pałace, dwory, zamki. W efekcie prowadziło to do głębokiej polaryzacji społecznej. Należy pamiętać o silnej agitacji komunistycznej lub nacjonalistycznej o zabarwieniu białoruskim czy ukraińskim, która nie pozostawała bez wpływu na niechętnie nastawienie ludności chłopskiej do Polaków.

Niezrealizowana koncepcja federacyjna Józefa Piłsudskiego przyniosła fatalne skutki dla Rzeczypospolitej. Marszałek, przypomnę, do-



magają się utworzenia federacji państw z Litwą, Białorusią, Ukrainą. Niestety tak się nie stało, nie tylko z przyczyn militarnych. Zdominowana przez czynnik endecki polska delegacja biorąca udział w rozmowach pokojowych z ZSRS w Rydze w 1921 r., doprowadziła nawet do oddania władzy sowieckiej Mińska, Kamieńca Podolskiego, choć Sowietci byli skłonni te tereny pozostawić Polsce. Narodowa Demokracja opowiadała się jednak za państwem narodowym i uważała, że należy mieć tyle terytorium, ile można spolonizować. Koncepcja Piłsudskiego zupełnie inaczej ustawiła geopolitykę tego regionu i kto wie jak potoczyłyby się losy Polski i innych kresowych narodów, gdyby została zrealizowana.

Polityka narodowościowa w II RP wobec mniejszości narodowych nastawiona była głównie na asymilację, polonizację. Przy nędznym stanie gospodarki na wschodzie Polski propaganda Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi czy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów trafiała na podatny grunt. Ci spośród Polaków, którzy głosili hasła pojednania, poszukiwania *modus vivendi* dla obu stron, kończyli źle. Minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki i wybitny działacz piłsudczykowski Tadeusz Hołówko zostali zastrzeleni przez OUN, wojewoda wołyński Henryk Józewski, znany z prowadzenia liberalnej polityki wobec Ukraińców, został odwołany ze stanowiska. Symbolem złej polityki wschodniej była akcja niszczenia cerkwi prawosławnych na Chełmszczyźnie w drugiej połowie lat trzydziestych.

B.P. – Współistnienie nacji i wyznań stanowiło o wielkim bogactwie Kresów w sensie stworzenia stosunkowo tolerancyjnych społeczności lokalnych. Obok siebie budowano świątynie różnych wyznań, funkcjonowały narodowe stowarzyszenia, teatry, restauracje czy kluby sportowe. Do tej charakterystyki przedwojennych Kresów Wschodnich warto dodać również i to, że był to obszar stosunkowo ubogi gospodarczo o słabej infrastrukturze przemysłowej, z marnymi drogami. Status metropolii można przyznać jedynie Lwowowi, będącemu wielkim europejskim miastem. Starano się, żeby metropolią stało się również Wilno. I rzeczywiście bardzo rozwinęło się ono w Dwudziestolecie. Dumą miasta był Uniwersytet Stefana Batorego. Takie były polskie Kresy, gdy nadszedł wrzesień 1939 r.



SZARAŃCZA

P.N. – Okupacja dla Kresów zaczęła się 17 września. Wcześniej ludność tamtejsza doświadczana była tylko przez naloty bombowe, dość zresztą ograniczone. Nie znaczy to, że kresowiaczy nie brali udziału w walkach. Na przykład załoga Westerplatte w znacznej większości pochodziła z Brzeźcia nad Bugiem. Okupacja jednak zaczęła się dopiero po nadejściu Sowietów, którym opór stawiano sporadycznie (zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza, który interpretowano jako rozkaz nie stawiania oporu Sowietom). Krótkotrwały, choć skuteczny opór stawiało Wilno i heroicznie broniło się Grodno. W Wilnie walczyły jednostki ostonowe WP wraz



z ochotnikami – najczęściej młodzieżą. Symbolem tego oporu był przez wiele dni wrak sowieckiego czołgu wystający z nurtu Wilii i groby na Rosie trzech polskich żołnierzy, którzy zginęli w tym rejonie.

Wejście bolszewików na Kresy ich mieszkańcy porównywali do inwazji szarańczy. Wygłodzeni Sowieci najpierw grabili, a zaraz potem, wykorzystując urzędowe zrównanie złotówki z rublem wykupili wszystkie towary w sklepach. Natychmiast znacjonalizowano wszystkie przedsiębiorstwa, przeprowadzono czystki w urzędach, pozbawiając źródła dochodów zdecydowaną grupę mieszkańców miast. Podobnie rzecz miała się na wsiach, gdzie „uspółdzielczano” gospodarstwa, tworząc kolchozy. Gdziekolwiek proces ten przebiegał nieco wolniej, ale był równie bolesny. Zabierano ziemię, oddając ją pod zarządek kierownictwa kolchozu, zazwyczaj złożonego z marginesu wiejskiego.

A.H – Uderzenie w okresie 1939–1941 w dużej mierze było skierowane przeciw ludziom, którzy walczyli w wojnie polsko-bolszewickiej, tym, którzy władzy bolszewickiej najboleśniej zaleźli za skórę. Byli to legionieści Piłsudskiego, dawni oficerowie carskiej armii, specjaliści sowietolodzy np. z Instytutu Europy Wschodniej w Wilnie, Ukraińcy z oddziałów Semena Petlury, Białorusini walczący w antybolszewickich ugrupowaniach generała Stanisława Bułak-Bałachowicza czy „biali” Rosjanie związani z dawnym terrorystą, a potem ministrem w rządzie Kiereńskiego, Borysem Sawinkowem. Wszyscy oni byli w pierwszej kolejności aresztowani i wywiezieni.

B.P. – Na ogromną skalę grabiono wszelki majątek łącznie z dobrami kultury. Najcenniejsze zbiory zostały wywiezione w głąb Rosji. Jeśli coś nie było przydatne jako trofeum zdobyczne, to po prostu to niszczone, wdeptywano w ziemię, palono, łamano. Do tego trzeba dodać strach. Strach wytworzony przez kolejne fale deportacji, masowe aresztowania i represje. Jednym ze skuteczniejszych sposobów rozprawienia się ze społecznością kresową była walka z Kościołem i religią. Związek Sowiecki to przecież państwo urzędowego ateizmu. Czy zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny RP w 1939 r. doszło do bezwzględnego niszczenia Kościoła?

WALKA Z KOŚCIOŁEM

A.H. – Kiedy Sowieci wkroczyli na tereny wschodnie II RP, to na całym tym terytorium rozstrzelano kilkunastu księży katolickich, którzy brali udział w aktywnej obronie Polski, czy też zostali zadenuncjowani przez miejscowe jaćzejki komunistyczne, bo działali aktywnie w okresie międzywojennym. Bezpośrednie represje wobec duchowieństwa w tej pierwszej fazie okupacji nie były jednak zjawiskiem masowym, jak stało się to w okresie po 1945 r. Jeśli chodzi o deportacje okresu 1940–1941, to sytuacja była podobna. Owszem, łącznie w latach 1940–1941 aresztowano a potem wywieziono 139 kapłanów katolickich, ale przede wszystkim dlatego, że byli zaangażowani



Fot. Jan M. Ruman

Zdewastowany kościół dominikański
w Rosochaczu nieopodal Czortkowa.
Stan z 2004 r.



w działalność konspiracyjną. Tak trafił do więzienia i następnie do łagru np. ks. Kazimierz Kucharski, znany jezuita wileński. Szlak łagierny przeszli duchowni, którzy potem zostali kapelanami armii generała Władysława Andersa. Warto dodać, że prócz księży rzymskokatolickich, represjonowani byli również grekokatolicy, duchowni prawosławni, ewangelicy, rabini.

B.P. – Niemniej za czasów okupacji sowieckiej Kościół poniósł ogromne straty. Polityka Sowietów na obszarze zaanektowanym była nastawiona na niszczenie wszelkich śladów polskości, polskiej kultury. A więc także na niszczenie Kościoła.

A.H. – W przypadku Kościoła to było najbardziej dotkliwe uderzenie – całkowita nacjonalizacja jego majątku. Nie chodzi tu tylko o ziemię, ale przede wszystkim o plebanie, klasztory, szkoły katolickie czy budynki przeznaczone na udzielanie pomocy charytatywnej. Kościół został tym samym pozbawiony możliwości prowadzenia znacznej części swej zwykłej działalności. W szkołach, gdzie dotąd na ścianach wisiały krzyże, gdzie Kościół prowadził katechizację, władze sowieckie wprowadzały swoje propagandowe emblematy, pod którymi krzewiły własną ideologię. Tworzono tzw. dwadcatki, czyli komitety dwudziestoosobowe, składające się z osób świeckich. Odtąd nie proboszcz był głową parafii, lecz komitet, czyli często podstawieni agenci NKWD. W wielu wypadkach owe komitety udawało się jednak obsadzić zaufanymi ludźmi Kościoła. Pierwsza okupacja sowiecka trwała stosunkowo krótko, nie wszystko udało się Sowietom zrealizować, ale jak się potem okazało to był początek pewnego procesu. Kiedy władze sowieckie wróciły na te tereny w 1944 r., powróciły do swoich metod, niektóre, przerwane działania miały swe dokończenie. Ksiądz Kazimierz Świątek, obecny kardynał, przewodniczący Episkopatu Białorusi, w 1941 r. został aresztowany w Prużanie na Polesiu. Siedział w celi śmierci, miano go rozstrzelać w czerwcu 1941 r., nagle wkroczyli Niemcy i on cudem uniknął śmierci. Minęły trzy lata, wrócili Sowietci i pierwsze co zrobili, przyszedli po księdza Świątkę. Mieli go już na liście.

B.P. – Pod jakim zarzutem?

A.H. – Po prostu stary wyrok nie został wykonany. Skazują go ponownie, dostaje tym razem wyrok 25 lat pobytu w łagrze. Pod tym względem system represji był perfekcyjnie przygotowany, listy aresztowanych czekały tylko na realizację.

PARTYZANTKA

B.P. – Jak wyglądał polski ruch oporu na Kresach?

P.N. - Pierwsze organizacje konspiracyjne powstały już w momencie wkroczenia wojsk sowieckich w 1939 r. i to zarówno oddolnie, jak i w sposób



zorganizowany za sprawą głównie SZP-ZWZ, która starała się zresztą podporządkować pomniejsze organizacje, często jednak na zasadzie włączenia całych, już istniejących struktur. Ujednolicenie miało dopiero nadejść. Jednak wobec intensywnej działalności NKWD rozszerzenie działalności podziemia było bardzo utrudnione. Błyskawicznie zbudowano szeroką siatkę agenturalną, która praktycznie obejmowała wszystkie środowiska, co sparaliżowało większość prób stworzenia sieci konspiracyjnej. We Lwowie sieć SZP-ZWZ była infiltrowana do stanowiska komendanta okręgu włącznie. Polskie podziemie najlepiej funkcjonowało pod okupacją litewską, skąd promieniowało inicjatywami na ziemie wcielone do ZSRS. Do czerwca 1941 r. istniała partyzantka na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie, jak również sieć konspiracyjna, choć zrywana i demontowana przez NKWD. Kolportowano prasę konspiracyjną, rekrutowano nowych członków, szkolono kadry, zbierano broń, likwidowano agentów. Prowadzono także działania ostonowe, mające bronić ludność polską przed prześladowaniami. Funkcjonowały komórki legalizacji, produkujące fałszywe dokumenty, starano się opanować ważniejsze urzędy, aby chronić Polaków, ukrywano zagrożony dorobek kulturalny. Ważną rolę odgrywał ruch kurierski, pozwalający przerzucać przez granicę zarówno materiały (rozkazy, środki finansowe czy techniczne), jak i ludzi.

B.P. – Co się zmieniło w chwili wkroczenia na te tereny wojsk niemieckich?

P.N. – Działalność gestapo nie była tak skuteczna w zwalczaniu konspiracji, której członkowie byli zresztą już bogatsi w doświadczenia. Odbudowano siatkę konspiracyjną na Kresach i dokończono akcję scaleniową. ZWZ-AK podporządkowały się praktycznie wszystkie ugrupowania polityczne, nie tworzą odrębnych sieci BCh czy NOW. W 1942 r. ujednolicono struktury i zbudowano silną siatkę konspiracyjną. Podziemie miało być przede wszystkim polską armią i bronić polskiego społeczeństwa. Na Kresach był to bardzo skomplikowany proces. Bronić należało bowiem nie tylko przed niemieckim okupantem, ale także przed antypolskimi działaniami mniejszości, przede wszystkim ukraińskiej i litewskiej. Jedną z frakcji ukraińskich nacjonalistów OUN-B już w 1941 r. rozpoczęła wrogie działania skierowane przeciwko Polakom. Akcja ta osiągnęła apogeum w 1943 r., kiedy doszło do rzezi na Wołyniu. Na Wileńszczyźnie rozpoczęły się prześladowania ze strony współpracujących z niemieckim okupantem Litwinów. Sytuacja Kresów była dodatkowo trudna w tym okresie ponieważ ziemie te przez Związek Sowiecki były traktowane jako własne terytorium. Dochodziła więc działalność partyzantki sowieckiej, szczególnie w pierwszym okresie nastawionej głównie na przetrwanie, rabującej okoliczną ludność. W połowie 1943 r. postawa partyzantki sowieckiej radykalizowała się. Niszczono polskie oddziały i polską siatkę konspiracyjną. Rozpoczęła się faktyczna wojna partyzancka. Na terenie Kresów północno-wschodnich funkcjonowały



przecież równolegle partyzantki: żydowska, litewska, sowiecka, białoruska, polska. Mimo wielu prób porozumienia, podziemie polskie i wyrosłe już w początku 1943 r. polskie oddziały partyzanckie walczyły z niemieckim okupantem, z oddziałami UPA i litewskimi formacjami policyjnymi, a także z partyzantką sowiecką. Walka trwała więc na wielu frontach. Zawijano i zrywano najdziwniejsze sojusze.

B.P. - Jak na tym tle wyglądała polska partyzantka?

P.N. - W czerwcu 1944 r. na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie działało kilkadziesiąt oddziałów, liczących od kilkudziesięciu do kilkuset (nawet 900!) żołnierzy, uzbrojonych w zdobyczną broń, zachowujących dyscyplinę wojskową, dążących do jednolitego, regulaminowego umundurowania. Tworzyły one swoiste „republiki partyzanckie”. Niemcy na tych obszarach poruszali się tylko głównymi drogami, w silnie bronionych konwojach. Partyzanci poruszali się jawnie, stacjonując we wsiach, gdzie zakładane były np. piekarnie wojskowe czy rusznikarnie. Życie partyzanckie przypominało wtedy nieco życie koszarowe. Prowadzono teoretyczne zajęcia wojskowe (istniała Szkoła Młodszych Dowódców), prowadzono zajęcia z musztry, szyto mundury, rozwijano tabor samochodowy (co najmniej kilkadziesiąt samochodów ciężarowych i osobowych służyło w oddziałach, głównie w 3. Wileńskiej Brygadzie, nazywanej nawet niekiedy – choć zdecydowanie na wyrost – zmotoryzowaną). Funkcjonowała polska administracja, wszędzie widać było polskie flagi i godła.

B.P. – Co dzieje się po ogłoszeniu realizacji planu „Burza” zakładającego wspólne wystąpienie przeciwko Niemcom u boku „sojuszników naszych sojuszników”, a więc ujawnienie się polskiego podziemia przed wkraczającą Armią Czerwoną?

P.N. – Wymagało to olbrzymiej dyscypliny ze strony członków AK, którzy Sowieców postrzegali jako wroga. Pamiętano ich działania z okresu pierwszej okupacji, nie mówiąc już o doświadczeniach z sowiecką partyzantką. Niemniej podporządkowano się rozkazowi. Pierwsza przystąpiła do „Burzy” 27. Wołyńska Dywizja AK, walcząc już od marca 1944 r. Walki o Lwów zaczęły się 23 lipca 1944 r. Po czterech dniach, 27 lipca miasto zajęła Armia Czerwona, przy znacznym współudziale jednostek AK. Największa jednak mobilizacja miała miejsce na północy Kresów, gdzie skoncentrowane zostały siły partyzanckie Nowogródzkiego i Wileńskiego Okręgu AK, które miały opanować Wilno przed nadejściem Armii Czerwonej. Ostatecznie pod Wilnem znalazło się sześć tysięcy partyzantów. 13 lipca wspólnie z czerwoarmistami opanowano miasto. Jednak, podobnie jak na innych terenach oddziały AK zostały rozbrojone, a żołnierze internowani. Rozpoczęła się trzecia okupacja sowiecka. Konspirację kontynuowano w o wiele trudniejszych warunkach, spowodowanych głównie ujawnieniem znacznej części struktur podczas „Burzy”. W kwietniu 1945 roku



struktury m.in. Okręgu Wileńskiego i Lwowskiego ewakuowały się do Polski centralnej, gdzie podjęły dalszą działalność.

WYGNANIE

B.P. – W lipcu roku 1944 ogłoszone zostaje powstanie PKWN, polskiej z nazwy struktury władzy, w istocie będącej narzędziem polityki Stalina. Komitet ten już na początku września 1944 r. podpisuje umowy z „władzami” granicznych republik sowieckich litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej. Dotyczą one dobrowolnej, przynajmniej na papierze, „repatriacji” zamieszkujących na Kresach Polaków i Żydów do Polski, popularnie zwanej wówczas „lubelską”.

A.H. – Ogłoszenie repatriacji – bo tak propagandowo określono przesiedlenie, faktyczną ekspatriację – było szokiem dla Polaków mieszkających na Wschodzie. Ich ojczyzna była tam, gdzie się urodzili, gdzie rodzili się ich rodzice, dziadowie. To jest bardzo charakterystyczne, gdy pojawiają się pierwsze ogłoszenia, że będą wyjazdy do Polski w nowych granicach, nikt się nie rusza – ani ze Lwowa, ani z Wilna, ani z prowincji. Pełnomocnicy Państwowych Urzędów Repatriacyjnych, wspomagani przez służby specjalne NKWD/NKGB i Urząd Bezpieczeństwa zaczynają wywierać naciski. Zaczynają się aresztowania, najczęściej ludzi najbardziej wpływowych, opiniotwórczych, którym przedstawia się alternatywę – albo jedziesz na „białe niedźwiedzie”, albo wyjeżdżasz w nowe granice Polski. Wielu kresowiaków postawionych w tej sytuacji podejmuje dramatyczną decyzję o wyjeździe w kierunku na Zachód.

P.N. – Na Wileńszczyźnie widać to bardzo wyraźnie, przeglądałem księgi repatriacyjne. Do kwietnia 1945 r. na repatriację, czyli faktyczną ewakuację ludności z tamtych ziem zapisały się jednostki. Od kwietnia dziennie na wyjazd zapisuje się po dwa, trzy, cztery tysiące osób. Żeby się zapisać, ludzie stoją w kolejkach.

B.P. – Co jest powodem takiej zmiany zachowań? Czy ma to związek z ustaleniami z Jałty?

P.N. – Ludność Kresów uświadomiła sobie, że Kresy są stracone słysząc w radiu czy czytając w gazetach o postanowieniach Jałty w lutym 1945 r. Wtedy zrozumiano, że to już koniec. W kwietniu komendant okręgu wileńskiego i delegat rządu wydają zarządzenie, że należy wyjechać, chronić ludność polską, te ziemie będą zrusyfikowane, a ci którzy zostaną będą deportowani. To był dramatyczny apel. Zezwala się na wyjazd na ziemie uwolnione od Niemców, więc natychmiast zaczyna się duży ruch. Wcześniej, czy w „Niepodległości” czy w innych pismach, były apele Okręgowej Delegatury Rządu – nie wyjeżdżajcie, będzie plebiscyt, udowodnicie polskość tych ziem, mimo że was zmuszają, wy-



trwajcie. A teraz ludzie słyszą – nie będzie żadnego plebiscytu, koniec, musimy stąd wyjechać, musimy ocalić polskość, ocalić żywioł polski zniszczony przez wojnę. Trzeba jechać do Polski w jej nowych granicach, może stamtąd uda się jeszcze walka o nasze Wilno.

I jeszcze jedno. Na jednej z konferencji IPN historycy litewscy przedstawili bardzo ciekawy referat o prześladowaniach i zmianach narodowościowych po drugiej wojnie światowej. Podali informację, potwierdzoną przez dokumenty sowieckie, że do czerwca 1945 r. była intencja wypychania Polaków stamtąd, nacisk był potężny. W czerwcu 1945 r. nastąpiła zmiana tej strategii, okazało się, że na Wileńszczyźnie, częściowo Nowogródzczyźnie, że na tych ziemiach pozostałaby pustka, więc naciskano, żeby ludzie nie wyjeżdżali. Zabierano karty ewakuacyjne, zawracano, nawet z pociągu, przedstawiciele inteligencji technicznej, inżynierów, majstrów, nawet tej niższej inteligencji technicznej, czyli ludzi, którzy byli w stanie obsługiwać fabryki, zarządzać koleją.

A.H. – Rzecz symboliczna, w styczniu następuje fala aresztowań hierarchii duchowieństwa katolickiego mieszkającego na Wschodzie. Arcybiskup Romuald Jałbrzykowski został aresztowany w styczniu 1945 r. w Wilnie. Był już wtedy niemłodym, schorowanym człowiekiem, spędził w celi trzy miesiące. NKWD wypuściło go, ale postawiło ultimatum – musisz wyjechać, bo inaczej ponownie cię aresztujemy i zamęczymy. Arcybiskup wyjeżdża w konsekwencji do Białegostoku. Z całą pewnością wyjazd takiej osoby był sygnałem dla ludności – nasz autorytet, nasza ostoja duchowa, pasterz wyjeżdża, zostajemy bez obrony.

B.P. – **Sowieci wiedzieli doskonale, co znaczy pozbawić wiernych pasterza. Jaka była w tej sytuacji strategia arcybiskupa Jałbrzykowskiego?**

A.H. – Metropolita wileński wypowiedział się w sprawie wyjazdów jednoznacznie. Dopóki w parafiach są wierni, księża mają pozostać na swych placówkach i starać się normalnie wykonywać obowiązki. Jedynie najmłodsze pokolenie duchowieństwa, najbardziej zagrożone aresztowaniami, otrzymało ustną zgodę abp. Jałbrzykowskiego na wyjazdy w nowe granice Polski. Podobnie jak w Wilnie, również w diecezji łuckiej w styczniu 1945 r. został aresztowany biskup Adolf Szelązek. W zasadzie cała kapituła łucka, która pozostała na Wschodzie, w tym księża Władysław Bukowiński, Karol Gałęzowski, Adolf Kukuruziński, wszyscy zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu w Kijowie. Ich proces odbywa się rok później. Biskupa Szelązka po półtora roku trzymania w więzieniu, bez wyroku, deportowano na siłę, bez jego zgody, w granice PRL. Podobne represje zostały skierowane przeciwko arcybiskupowi Eugeniuszowi Baziakowi we Lwowie. Nocne przesłuchania, rewizje, praca donosicieli. We Lwowie sytuacja była wyjątkowo trudna, ponieważ w 1944 r. zmarł arcybiskup Twardowski. Jego następcą został arcybiskup Baziak, który nagle znalazł się w nowej sytuacji, w nowej roli.



Fot. Katarzyna Tomaszczyk

Wilno. Ostra Brama

EWAKUACJA ODDZIAŁÓW

B.P. – Jak wyglądało opuszczanie Kresów przez żołnierzy, oddziały partyzanckie?

T.Ł. – Odpływ oddziałów partyzanckich z Kresów północno-wschodnich zaczął się już w trakcie operacji „Ostra Brama”. Spośród zwartych jednostek, pierwszą, która w lecie 1944 r. rozpoczęła marsz na zachód było Zgrupowanie Stołpeckie, składające się z I batalionu 78 pp. i 27 p.uł. AK. Jego dowódca, ppor. cc. Adolf Pilch „Góra” po wydarzeniach z grudnia 1943 r., kiedy to partyzantka sowiecka rozbiła większość pododdziałów zgrupowania i wymordowała około pięćdziesięciu jego żołnierzy, nie miał żadnych złudzeń co do stanowiska Sowietów wobec polskiej partyzantki, zwłaszcza zaś jego jednostki. Słuszność takiej oceny sytuacji potwierdzały zresztą ciągłe ataki oddziałów „czerwonej partyzantki” na podległe mu pododdziały. Zgrupowanie jako jedyne też z jednostek sformowanych przez Okręg Nowogródzki nie wzięło udziału w walkach o Wilno, ale wyprzedzając linię frontu przesunęło się w lecie 1944 r. przez powiat wołkowycki, Podlasie aż do Puszczy Kampinowskiej. Żołnierze ci wzięli udział w Powstaniu Warszawskim w szeregach Zgrupowania „Kampinos”, część z nich uczestniczyła w walkach na Żoliborzu. Po upadku Powstania ocalała z porażki pod Jaktorowem część zgrupowania razem z dowódcą por. cc. Adolfem Pilchem „Dolina” – „Górą” przebiła się w Góry Świętokrzyskie, gdzie zakończyła swój szlak bojowy w drugiej połowie stycznia 1945 r. Jako zwarta jednostka formacja ta, licząca przeszło siedmiuset żołnierzy przeszła parę tysięcy kilometrów.

B.P. – Jak oni szli? Jaka była strategia tego przemieszczania się?

T.Ł. – Był to oddział w pełni umundurowany z wozami taborowymi, które ciągnęły się na przestrzeni kilku kilometrów. Mógł on z powodzeniem udawać i udawał jedną z wielu formacji kolaboracyjnych – białoruskich czy też rosyjskich, które wycofywały się wraz z Niemcami. W celu przykrycia – zakamuflowania rzeczywistego charakteru oddziału – zgrupowanie posługiwało się grupą kilku żandarmów niemieckich zabranych w lipcu 1944 r. po rozbiciu garnizonu w Rakowie oraz oddziałem policji białoruskiej – w większości żołnierzy AK, którzy dołączyli z tej miejscowości w momencie odmarszu na zachód. Grupy te wieziono na pierwszych wozach – jako rzekomy dowód współpracy z Niemcami i kiedy dochodziło do styczności z jednostkami niemieckimi, po prostu posługiwano się nimi, jako rodzajem tarczy. Sytuacji takich starano się jednak unikać, podążając w kierunku Warszawy bocznymi drogami. Oczywiście, w momencie powstania sytuacji konfliktowych zawsze pozostawał argument siły, a był to oddział bardzo dobrze uzbrojony, dość powiedzieć, że ich uzbrojenie stanowiło praktycznie jedną czwartą wyposażenia Okręgu Warszawskiego AK w czasie Powstania Warszawskiego. Stosując wspomniany kamuflaż



udało im się przejść nawet przez obsadzony przez wojska niemieckie most na Wiśle w Modlinie. Jako rejon stacjonowania wyznaczono im rejon Dziekanowa Leśnego, z którego czym prędzej wymaszerowali w Puszcę Kampinoską, nawiązując kontakt z miejscowymi oddziałami AK.

B.P. – Czy grupowanie por. Pilcha było jedyną jednostką, która poważyła się na taki wyczyn?

T.Ł. – Druga zwarta jednostka, która w lecie 1944 r. uzyskała ustną co prawda, ale formalną zgodę komendanta Okręgu Wileńskiego płk Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka” na marsz na zachód, to 5. Brygada Wileńska pod dowództwem mjr. Zygmunta Szyndzielarza „Łupaszki”, ostatecznie rozwiązana w rejonie Porzecza na Grodzieńszczyźnie w końcu czerwca 1944 r. Oczywiście w tym samym czasie na zachód przedziera się pojedynczo lub w kilkuosobowych grupkach wielu żołnierzy kresowej AK, wielu też zasila szeregi najbliższej terytorialnie konspiracji – tj. Okręgu Białostockiego. Na tym zamyka się rok 1944.

B.P. – Nie wszyscy wyszli. Nie tylko dlatego, że nie mogli, także dlatego, że nie chcieli. Jakie były rozkazy na ten temat?

T.Ł. – Odptyw ludzi z tamtych dwóch okręgów ma swój początek w lecie 1944 r. Był usankcjonowany przez Komendę Główną i dowództwo połączonego okręgu wileńsko – nowogródzkiego, które nakazywały przerzut do Polski centralnej zagrożonych członków konspiracji. Na pozostanie na Kresach zdecydowało się jednak początkowo wielu dowódców – jak można sądzić w poczuciu odpowiedzialności za powierzonych sobie żołnierzy. Uczynił to m.in. ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, kpt. Stanisław Sędziak „Warta”, ppor. Czesław Zajączkowski „Ragner”, por. Jan Borysewicz „Kryśia”. Przez prawie rok funkcjonowały dalej oddzielnie komendy okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego, które starały się kierować zbrojnym oporem przeciwko Sowiетom. Do pomocy w organizacji przerzutu włączona została także białostocka AK, zwłaszcza zaś Inspektorat Grodzieński – przylegający od strony wschodniej do tzw. linii Curzona. Jego żołnierze mimo, że uczestniczyli czynnie w przeprowadzaniu oddziałów wileńskich i nowogródzkich, sami przez wiele miesięcy mieli formalny zakaz opuszczania dotychczasowego terenu działania i pełnionych funkcji. Była w tym widoczna jasno formułowana nadzieja na korzystną weryfikację granic, w wyniku której wszystkie tereny przygraniczne, w tym Grodno, zostaną przyznane Polsce. Taka sytuacja w Inspektoracie Grodzieńskim trwała do 30 czerwca 1945 r., tzn. do podjęcia decyzji o likwidacji aktywów konspiracyjnych inspektoratu. Za „kordonem” miały pozostać jedynie komórki propagandowe, wywiadowcze i dywersyjne o składach skadrowanych. Wszyscy członkowie organizacji zagrożeni represjami lub też chcący wyjechać mieli być przerzuceni wszelkimi sposobami przez tzw. linię Curzona. W 1945 r. trwał dalej wzmożony ruch oddziałów kresowych na zachód.



B.P. – Część żołnierzy umieszczono w transportach repatriacyjnych, a część zdecydowała się na przejście z bronią.

T.Ł. – W lecie 1945 r. z pomocą żołnierzy z Obwodu AKO Grodno Prawy Niemen przez granice przeszły bojowe grupy wileńsko-nowogródzkie „Lalusia”, „Żuka” i „Śmiałego”. Co znamienne – fakt dotarcia do ówczesnego terytorium polskiego nie oznaczał dla nich wcale zmniejszenia ryzyka likwidacji. Oddziały sowieckie w pogoni za polskimi oddziałami kresowymi zwyczajowo przechodziły bowiem umowną dla siebie granicę. Przekonał się o tym „Laluś”, którego grupa już po kilku godzinach pobytu w Polsce wytropiona została i rozbita przez Wojska Wewnętrzne NKWD na terenie powiatu sokólskiego. Także w lecie następuje samolikwidacja ostatnich komend okręgowych – wileńskiej i nowogródzkiej. Proces zorganizowanych przerzutów zamykają jak się wydaje grupy grodzieńskie, z których ostatnia przekracza granicę w lutym 1946 r.

DOPALANIE KRESÓW

B.P. – Ale niektórzy żołnierze zostali. Jakie były powody podjęcia takiej decyzji?

T.Ł. – Powody, jak można sądzić, były – zwłaszcza od lata 1945 r. – bardziej indywidualne niż organizacyjne. Wydaje się, że generalnym motywem były, zarówno kwestia odpowiedzialności za powierzonych sobie żołnierzy, jak i gotowość obrony miejscowej ludności przed działaniami represyjnymi sowieckiego aparatu bezpieczeństwa. Wiara w to, że będzie jakiś nowy światowy konflikt, który zmieni układ sił, w przeciwieństwie do większości konspiratorów z Polski centralnej, tam była argumentem drugorzędny. Chociaż na terenach przylegających do tzw. linii Curzona przez dłuższy czas utrzymywała się wiara w nieodległą korektę granicy. Przeważała jednak opinia o konieczności obrony własnych domów rodzinnych. Do tego dochodziły motywy o charakterze osobistym, które wzmacniały tylko determinację.

B.P. – Jak można scharakteryzować tę ostatnią kresową konspiraację zbrojną?

T.Ł. – Po 1945 r. na kresach północno-wschodnich mamy w zasadzie dwa centra ogniskujące działalność polskiej konspiracji niepodległościowej. Największy i najsilniejszy – bo liczący według danych sowieckich blisko ośmiuset ludzi – to Obwód 49/67 grupujący konspiratorów z dwóch obwodów Okręgu Nowogródzkiego – Szczuczyn Nowogródzki i Lida. Jego dowódcą był były dowódca kompanii z VII batalionu 77 pp. AK, nauczyciel szkoły powszechnej, ppor. Antoni Radziwonik „Olech”. Drugim takim centrum, skupiającym działalność konspiracji polskiej na Grodzieńszczyźnie był Obwód nr 10 z ppor. Mieczysławem Niedzińskim „Menem, Renem, Niemnem”.



Inny, bardziej lokalny charakter ma inicjatywa powstała we wschodniej części powiatu Wołkowyś w 1946 r. Próbowano tam utworzyć miejscową samoobronę, której bazę stanowili w większości byli członkowie konspiracji AK-owskiej. Głównym inicjatorem i pierwszym dowódcą struktury jest miejscowy proboszcz parafii Krzemienica, b. kapelan 3. pułku strzelców konnych ks. Antoni Bańkowski „Eliasz”. Chodzi głównie o to, żeby nadać ramy organizacyjne procesowi ucieczki ludzi do lasu i tworzenia grup „dzikich”, które wyrodzić się mogą w grupy o charakterze bandyckim. Inicjatywa różni się od szeregu podobnych pomysłów tym, że trwa stosunkowo długo. Powstała w lecie 1946 r. i działa aż do czerwca 1948 r., przez cały ten czas dysponując stałym oddziałem partyzanckim. W przypadku struktury lidzko-szczuczynskiej prowadzono działania o znacznie większym rozmachu, obejmującym teren dwóch powiatów. Oddziałów podległych ppor. „Olechowi” było kilka, były one silniejsze – do stu ludzi jeszcze w 1948 r.

B.P. – Jaki był charakter prowadzonych przez nich działań?

T.Ł. – Działania, jakie te struktury podejmują mają przede wszystkim charakter porządkowy, głównie są to akcje likwidacyjne agentów sowieckiego resortu bezpieczeństwa i wszystkich przedstawicieli władzy sowieckiej, którzy w ocenie wspomnianych organizacji prowadzą wobec ludności polskiej działalność szkodliwą. W dokumentach sowieckiego aparatu bezpieczeństwa tylko strukturze grodzieńskiej przypisano około stu likwidacji. W momencie rozpoczęcia akcji kolektywizacyjnej w 1947–1948 r. były one w stanie praktycznie zablokować tę operację, paląc kolejne kotłochozy, przeprowadzając likwidacje urzędników.

B.P. – Jak długo te działania przynosiły skutki?

T.Ł. – Aż do ostatecznej rozprawy. Wszelkie działania o charakterze zbrojnym powodowały zwielokrotnioną reakcję sowieckich sił bezpieczeństwa. Nawet to, co pozornie można by nazwać doraźnym sukcesem kończyło się ostateczną klęską. W 1949 r. następuje uderzenie wojsk MWD. W wyniku kolejnej z serii operacji w maju tego roku ginie Antoni Radziwonik „Olech”. Historia struktury grodzieńskiej jest dokładnie o rok krótsza. Śmierć dowódcy Mieczysława Niedzińskiego „Mena” jest końcem istnienia zorganizowanego oporu na Grodzieńszczyźnie, nie oznacza jednak całkowitego „wypalenia się” polskiego oporu. Funkcjonują jeszcze drobne oddziały likwidowane jeszcze na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Po tym okresie zostają tylko tzw. „odinoczki” – pojedynczy żołnierze, którzy ukrywają się przed resortem do kolejnej akcji repatriacyjnej w latach 1956–1957. Niektórym z nich udaje się do Polski wrócić, ale rok 1949 jest granicą prowadzenia aktywnych, zorganizowanych działań, „dopalenie Kresów” z tym momentem się kończy.

B.P. – Czy o tych ludziach pozostała jakaś pamięć, legenda wśród kresowych Polaków? Czy też ich ofiara poszła na marne?



A.H. – Dobrym świadkiem, jeśli chodzi o ziemię ludzką, jest pisarz Aleksander Jurewicz, który jako chłopiec wyjechał do Polski w latach pięćdziesiątych. Jurewicz wspomina sytuację, gdy na rynku w Lidzie pokazywano na wozie zabitego akowca, jako przykład ku przestrodze miejscowych Polaków. Świadomość legendy AK, „Kotwicza”, „Ponurego”, „Krysia”, „Ragnera”, nawet już nie żyjących, zabitych przez Sowieców, była olbrzymia. To przetrwało zresztą niemal do lat nam współczesnych.

ZACHOWAĆ POLSKOŚĆ

B.P. – Jest grupa ludzi, którzy Kresów nie opuszczają. Dokonują świadomego wyboru. Część z nich z zestania do odległych rejonów Związku Sowieckiego powraca tutaj, a nie do nieznanej Polski. Jednocześnie młode pokolenie Polaków zakłada rodziny, nierzadkim zjawiskiem jest tworzenie małżeństw mieszanych, polsko-rosyjskich, polsko-białoruskich itd. Coraz trudniej ocalić tożsamość. Cały ten świat był poddawany bardzo silnej presji sowietyzacji, rusyfikacji. Jak wygląda życie Polaków na byłych polskich Kresach Wschodnich, gdzie polskość w niemałej mierze została zniszczona?

A.H. – Opowiem to na przykładzie rodziny Adamskich ze Lwowa. Stanisław Adamski, zresztą nie jest to jego prawdziwe nazwisko, to bardzo ciekawa historia przedwojennego inteligenta, oficera WP, w czasie okupacji zaangażowanego w działalność AK na terenie Lwowa. Pan Stanisław został aresztowany w 1944 r. Rodzina nie wyjechała, bo czekała na swego męża, ojca, syna, czekali aż wróci z obozu, ufając, że na miejscu łatwiej mu będzie można pomóc. Łatwiej niż z odległej Polski, z zagranicy. I ten czynnik często działał w przypadku bardzo wielu rodzin. Stanisław Adamski wrócił z Riazania w 1948 r., już po zakończeniu procesu przesiedleń. Rodzina została zmuszona do pozostania we Lwowie. Tego typu przykładów wyborów polskich inteligentów jest wiele, wbrew temu, co się powszechnie utarło, że cała ta grupa społeczna wyjechała w nowe granice Polski. Wielu podobnych ludzi zostało we Lwowie, w Wilnie, Grodnie, w okolicach. Dla przykładu Walentyna Horoszkiewiczówna, ostatni sekretarz naukowy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, jak wielu innych absolwentów USB, została na miejscu. Ponieważ nic innego nie mogła robić, została nauczycielką w polskiej szkole na Litwie. Te szkoły ocalały bynajmniej nie na skutek jakiegoś kaprysu Stalina. Chodziło o to, żeby polskości akurat w tym miejscu do końca nie redukować, była to bowiem swoista przeciwwaga dla Litwinów. W roku szkolnym 1954/1955 na Litwie działało 312 szkół z językiem polskim jako wykładowym, oczywiście były to szkoły sowieckie, ale jednak z językiem polskim. Obowiązywała stara rzymska zasada „divide et impera”, należy wpuszczać żądło nieprzyjaźni między Polaków i Litwinów, niech oni się kłócą między sobą, łatwiej będzie nimi rządzić.



B.P. – Tym niemniej kwestia szkolnictwa w języku ojczystym jest kluczowa dla zachowania świadomości narodowej Polaków, którzy tam pozostali.

A.H. – Jeśli chodzi o podręczniki, to one pozostawały w gestii sowieckich ministerstw edukacji poszczególnych republik. Dzieci uczyły się o Leninie, sowieckiej ojczyźnie, stolicy w Moskwie, tyle tylko, że było to napisane po polsku. PRL nie miał tu ani wglądu, ani prawa do niczego. Szkolnictwo polskojęzyczne na terenach Kresów Wschodnich jeszcze jako tako działało do 1948 r. Po tej dacie likwidacji uległy ostatnie szkoły z polskim jako wykładowym na Łotwie i Białorusi. Na Litwie toczyła się swoista gra, o której wcześniej mówiliśmy. We Lwowie ocalały dwie polskie szkoły, to też był kaprys jakiegoś lokalnego kacyka partyjnego, który się na to zgodził. Wszystkie inne szkoły uległy bezwzględnej likwidacji.

P.N. – W latach sześćdziesiątych treść podręczników w języków polskim jest dokładnie taka sama, jak w języku rosyjskim. Te same zdjęcia, ten sam układ stron.

B.P. – Proces wynarodowienia – mimo wszystko – nie powiódł się.

A.H. – Na Wschodzie, po zniszczeniu przez Sowietów polskiego dworu, w pewnym stopniu nośnikami kultury i języka stały się katolickie plebanie. Nie chodzi tu o ich wartość materialną, ta częstokroć była bardzo licha, księża mieszkali w chatupinkach, w niewielkich pomieszczeniach. Jednak to częstokroć były ośrodki polskości, kontynuatorki dawnego, polskiego dworu. Pozostało wielu księży. W przypadku Litwy i Białorusi możemy mówić mniej więcej o połowie duchowieństwa, które pozostało na swoich dotychczasowych placówkach. Byli to ludzie zazwyczaj dobrze wykształceni, niejednokrotnie po specjalistycznych studiach na KUL czy za granicą. Wymieńmy choćby ks. Wacława Piątkowskiego z Niedźwiedzicy na Polesiu, przedwojennego pośta i senatora ks. Leona Żebrowskiego, długoletniego kanclerza kurii wileńskiej ks. Lucjana Chaleckiego, propagatorów kultu Miłosierdzia Bożego księży Stanisława Miłkowskiego z Derewnej i Józefa Grasewicza z Kamionki na Białorusi. Oczywiście oni byli represjonowani, osadzeni w więzieniach, wywożeni do łagrów, szykanowani.

Poznałem wielu księży, większość z nich już niestety nie żyje, w których domach odnajdywałem atmosferę znaną mi z kart polskiej literatury. Wspomnę tu ks. Michała Aronowicza w Grodnie, ks. Piotra Bartoszewicza w Żołudku, żyjącego w Mejszagole na Litwie ks. Józefa Obrębskiego, bp. Jana Olszańskiego z Kamieńca Podolskiego, ks. Michała Woronieckiego z Różany, ks. Józefa Łapkowskiego z Krasławia. Lista jest długa. W każdym z tych domów panowała niezwykła atmosfera dawnego, utraconego świata. Co ciekawe, wielu z tych wymienionych wcale nie pochodziło z Kresów, ale z Wielkopolski, z Mazowsza.



Fot. Krzysztof Kather



Zdewastowany Cmentarz Orłąt.
Stan z 1989 r.



Fot. Jan M. Ruman

Odnowiony Cmentarz Orłowski.
Brak jeszcze kolumnady chwały i lwów. Stan z 2004 r.

Salezjanin ks. Tadeusz Hoppe, działający przez wiele lat w Odessie i na Kijowszczyźnie był Wielkopolaninem. Mimo to nie chciał wracać. Zaszokowało mnie, gdy byłem w Żołudku w 1989 r., że ks. Antoni Chańko, absolwent powojennych szkół sowieckich posługiwał się świętą polszczyzną. Na półkach w tych domach widziałem niezwykle zbiory, np. pierwsze wydania dzieł Mickiewicza, Norwida, Słowackiego, Kraszewskiego i najnowsze prace teologiczne. Plebanie były nośnikami kultury polskiej, ale i współczesnej myśli teologicznej i filozoficznej. Księża seniorzy uczyli ministrantów tej kultury, przekazywali im wiedzę i często przygotowywali ich potajemnie do kapłaństwa. Bywało, że plebanie pełniły również rolę ukrytych „seminariów duchownych”. Tak było u ks. Wacława Piątkowskiego w Niedźwiedzicy, u ks. prof. Henryka Mosinga we Lwowie. Te ośrodki promieniowały na okolicę.

B.P. – Oprócz duchowieństwa zostało – jak wspomnieliśmy – trochę świeckich inteligentów.

A.H. – Wśród osób świeckich wymienić należy m.in. Władysława Abramowicza, poetę, historyka, tłumacza literatury litewskiej na język polski, Jana Obsta, twórcę Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie, przedwojennego redaktora naczelnego „Dziennika Wileńskiego”, Władysławę Likszankę, przedwojenną asystentkę Ferdynanda Ruszczyca, a po wojnie kierowniczkę szkoły im. S. Konarskiego w Wilnie, działającą na Kowieńszczyźnie Helenę Urniaż. Kolejną ważną postacią był Jerzy Orda. Przedwojenny pracownik Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, specjalista z dziedziny historii sztuki, który pozostał, bo nie wyobrażał sobie życia poza tym miastem. Ponieważ był fachowcem, niezastąpionym znawcą archiwów wileńskich, władze sowieckie zatrudniły go, dostał najniższe uposażenie i nigdy nie awansował. On jednak robił swoje. Nie publikował, bo nie miał gdzie i jak. Nie występował publicznie, bo było to niemożliwe. Jednak zebrał wokół siebie kilkanaście młodszych wiekiem osób, które nie bacząc na sowiecką rzeczywistość, zrzeczyły się w wileńskim zespole pieśni i tańca „Wilia”.

P.N. – Tu dodam jeszcze coś, co wyczytałem w materiałach Delegatury Rządu – dr Orda zwrócił się do podziemia polskiego z pytaniem, czy powinien zostać i objąć to stanowisko i dostał od Juliana Kulikowskiego „Ryngra” zatwierdzenie.

A.H. – Wokół takich ludzi tworzyło się jakieś środowisko. Tak było na przykład z nauczycielami – Irena Bedekanis, Stanisława Pietraszkiewiczówna, Ludwik Kuczewski, siostry Halina i Janina Mikołajówny. Ocalenie wielu tych nazwisk dla potomnych zawdzięczamy pionierskiej, bezcennej pracy Jerzego Surwiły „Zostali tu z nami na dobre i złe. Losy przedstawicieli przedwojennej inteligencji Wilna i Wileńszczyzny po 1944 roku”.

B.P. – Na Wołyniu czy w Galicji Wschodniej sytuacja jest jednak inna.

A.H. – Akurat stamtąd Polacy wyjechali masowo. Przede wszystkim na skutek rzezi ukraińskich i tego, co wydarzyło się w latach 1942–1945. Ludzie się bali, chcieli uciekać z piekła, które ich dotknęło. Warto jednak zwrócić uwagę, że jeśli chodzi o sam Lwów, to został tam znaczny zastęp polskiej inteligencji. Farmakolog prof. Tadeusz Wilczyński, lekarze dr Irena Pelczarska i prof. Henryk Mosing, prof. Mieczysław Gembarowicz, światowej sławy teoretyk i historyk sztuk pięknych, dr filozofii Ludwik Grajewski, wybitny znawca zabytków i pamiątek Lwowa, bibliotekarze Ossolineum: Jan Rogala, Kazimierz Giebułkowski, Wacław Olazewicz, księża, w tym dwaj członkowie kapituły katedralnej lwowskiej Ignacy Chwirut i Zygmunt Hałuniewicz. Symboliczną postacią był Henryk Mosing, jego losy opisałem w książce. Był uczniem prof. Rudolfa Weigla, przed wojną kandydata do nagrody Nobla, wynalazcy szczepionki przeciwko tyfusowi. Mosing był jego najwybitniejszym uczniem w dziedzinie chorób zakaźnych. W 1945 r. zdecydował się nie wyjeżdżać, nie posiadał rodziny. Akademię Medyczną we Lwowie wyodrębniono z uniwersytetu. Był jednym z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszym specjalistą w Sowietach od chorób zakaźnych. I choć nie był członkiem partii, jawnie chodził do kościoła, władze wysyłały go tam, gdzie wybuchały najgroźniejsze epidemie – do Kazachstanu, do Rosji, na Syberię, pod chińską granicę. Jeszcze przed wojną zetknął się ze Stefanem Wyszyńskim, a w czasie pobytu w Polsce po wojnie z kardynałem Karolem Wojtyłą. Finał był taki, że w 1960 r. w Laskach kardynał Stefan Wyszyński wyświęcił go na księdza. O tych święceniach wiedziało tylko kilka osób, jego przyjaciel ks. Fedorowicz, kardynał Wyszyński, kardynał Wojtyła. Mosing wrócił do ZSRS i stał się lekarzem ciała i duszy. Tam, gdzie władze sowieckie kierowały go do pracy lekarskiej, on prowadził równoległą pracę duszpasterską.

B.P. – I wszechwładne sowieckie służby nie wiedziały o tym?

A.H. – Sądzę, że nie. Postugiwał się maleńkimi naczyniami liturgicznymi, maleńką stulą, z którymi się przemieszczał. Na początku lat siedemdziesiątych stworzył konspiracyjne seminarium duchowne we Lwowie. Obecny biskup pomocniczy we Lwowie Leon Mały, to jeden z jego wychowanków.

B.P. – Czy są jakieś dane na temat małżeństw mieszanych, przynależności do partii, komsomołu – tego wszystkiego, co w sensie nawet już czysto społecznym, nie tylko politycznym jest przejawem wyrażania?

P.N. – Nie mam danych jeśli chodzi o Ukrainę, natomiast jeśli chodzi o Litwę i Białoruś, to sytuacja jest taka – spór o to wynikł zresztą na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy Polacy próbowali utworzyć auto-



nomię na terenie Litwy – wówczas zostali oskarżeni przez Sajudis, przez siły niepodległościowe, że Polacy są najbardziej skomunizowaną nacją na Wileńszczyźnie i taka wersja była przekazywana również do Polski, bardzo skwapliwie podjęła ten wątek „Gazeta Wyborcza”. Aleksander Srebrakowski z Wrocławia przeprowadził na ten temat bardzo dokładne badania – liczba członków KPL w 1990 r. wśród Polaków – 3,45 proc., Litwinów – 4,80 proc., Rosjan – 10,08 proc., Ukraińców – 12,07 proc., Białorusinów – 10,19 proc., Żydów – 14,30 proc. Polacy byli więc najmniej skomunizowaną grupą narodowościową, był wśród nich najmniejszy procent upartyjnienia. Tak samo było na Białorusi.

OBRONA WIARY

B.P. – Jak funkcjonował Kościół?

A.H. – Przede wszystkim został pozbawiony hierarchii. Jedynie Litwa i Łotwa zachowują biskupów, choć część z nich również zostaje zamordowana. To było pierwsze uderzenie. Służby specjalne wiedziały, że trzeba zacząć od głowy, bo wtedy być może ciało przestanie funkcjonować. Później przyszło uderzenie w duszpasterzy. Jeśli pozbawi się ludzi wierzących ich duszpasterzy, wyśle się do Polski czy aresztuje, to łatwiej będzie można zamknąć kościoły i przeznaczyć je na inne cele, a zarazem rozbić poszczególne wspólnoty katolickie. Wiele świątyń uległo przekształceniu w obiekty świeckie np. neogotycki kościół w Bobrujsku na Białorusi został zamieniony na kotłownię, w Gniewaniu na Ukrainie w gorzelnię, poddominikański kościół we Lwowie na muzeum ateizmu itd. Trzeba powiedzieć kilka słów o aresztowaniach wśród duchowieństwa. Ich podłoże było różne – w pierwszym okresie były to represje skierowane przede wszystkim przeciwko kapelanom AK. Wystarczyło, że kapłan odprawił jedną Mszę dla oddziału partyzanckiego, udzielił ostatniego namaszczenia czy innej posługi duszpasterskiej, następowało aresztowanie, sąd, deportacja do łagru. Znane są, co prawda niezbyt liczne, przypadki rozstrzeliwań księży w 1945 r. W poznanej już stosunkowo dobrze sprawie ejszyskiej, ks. Mikołaj Tapper został skazany na karę śmierci i wkrótce potem rozstrzelany pod Wilnem. Większość księży dostała wyroki po 25 lat łagrów. Aresztowania zaczynają się w 1944 r. i kończą mniej więcej około 1953 r. Po śmierci Stalina następuje lekka odwilż.

B.P. – A co dzieje się z seminariami i zakonami?

A.H. – Seminaria ulegają likwidacji. Chodzi o to, żeby ograniczyć liczbę kleryków, aby zredukować liczbę duchowieństwa. Jest ścisła reglamentacja, jeśli chodzi o liczbę przyjmowanych kleryków w każdym roku. Początkowo jest ich piętnastu na jednym kursie, potem dziesięciu, ośmiu, wreszcie pięciu alumnów. Przez wiele lat nie przyjmowano Polaków z Wileńszczyzny do seminarium w Kownie. Starsi duszpasterze wymie-

rali, a młodych coraz bardziej brakowało. Przychodzili Litwini, którzy nieraz bardzo słabo znali język polski, Polacy ponadto nie zawsze mieli do nich zaufanie i przekonanie.

Jeśli chodzi o zakony one również uległy formalnej likwidacji. Póki jeszcze byli biskupi na tych terenach mianowali zakonników jako proboszczów do poszczególnych parafii. Wojna spowodowała, że wiele parafii zostało opuszczonych. W tej sytuacji zakonnicy zrzucali habity i zakładali sutanny, pełnili funkcje proboszczowskie. Najliczniej wśród zakonów pozostali na Wschodzie karmelici, marianie, salezjanie, jezuiti. Likwidacji uległy też klasztory żeńskie. Siostry zdjęły habity, ale nie zrezygnowały z życia monastycznego, choć były wyrzucane ze swych klasztorów. Kupowały mieszkania, lub ktoś z osób świeckich ofiarował im locum w zamian za opiekę. Działo się tak w Wilnie, Lwowie, Grodnie, w innych większych ośrodkach miejskich. Szły do pracy do szkół, a jeszcze częściej do szpitali jako salowe, pielęgniarki. Życie zakonne zeszło do podziemia, ale nadal funkcjonowało, szczególnie w przypadku sióstr. Oczywiście obowiązywał zakaz nauczania religii, nie tylko w szkołach, ale i poza nimi. Do Mszy św. mogli służyć tylko dorośli, powyżej osiemnastego roku życia, często w ten sposób chciano odciąć od Kościoła najmłodsze pokolenie, jednocześnie aktywnie wprowadzając ateizm. I sekretarz KPZS Nikita Chruszczow optymistycznie zapowiadał w latach pięćdziesiątych, że w 1975 r. na terenie Sowietów religia przestanie formalnie istnieć.

B.P. – Bardzo ciekawa jest w tym kontekście historia Kościoła w Kazachstanie.

A.H. - Grupa księży katolickich z Wołynia, po odsiedzeniu wyroków łagiernych została osadzona na zesłaniu w tym stepowym kraju. W Kazachstanie mieszkała bardzo liczna grupa Polaków, pochodząca z deportacji lat trzydziestych, kiedy na Ukrainie zlikwidowano namiastkę polskości w postaci autonomicznego obwodu narodowościowego. Na Ukrainie autonomia nazywała się Marchlewszczyzna, analogiczny twór na Białorusi nosił nazwę Dzierżyńszczyzna. W drugiej połowie lat trzydziestych, kiedy stwierdzono, że pomysł się nie powiódł, bo Polacy byli oporni i nie dali się tak łatwo komunizować, Stalin zlikwidował obydwa okręgi autonomiczne. Wówczas wielu Polaków zostało poddanych represjom. Polacy z Marchlewszczyzny, czyli okolic dzisiejszego Dowbysza zostali wywiezieni do Kazachstanu. Wspomniani wcześniej duszpasterze natrafili na tych ludzi, w niewielkim stopniu byli tam też Polacy – zesłańcy z okresu wojny. Tacy duszpasterze jak Władysław Bukowiński, Józef Kuczyński, Bronisław Drzepecki stworzyli załączki parafii. Działali bez zgody, zezwoleń, nie mieli formalnie możliwości rejestrowania ośrodków duszpasterskich. Kupowali domy na osoby prywatne, zamieniali je na kaplice, zaczęły się tam rozwijać coraz bardziej intensywne ogniska wiary, przy czym wiernymi byli nie tylko Polacy, ale i zesłańcy niemiec-



cy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, z rzadka także ludność autochtoniczna. Tak było w latach 1956–1959, potem księża zostali ponownie aresztowani, otrzymali kolejne wyroki. Jednak ziarno raz posiane przyniosło plon. Wprawdzie księża Drzepecki i Kuczyński, po odbyciu drugich wyroków, wyjechali na Ukrainę, jednak pozostał ksiądz Bukowiński. Wkrótce dołączył do niego ksiądz Niemiec, potem dwóch duchownych greckokatolickich, przyjechał także na ochotnika jezuita z Litwy. Tak się narodził ten Kościół, który kilka lat temu, już nieźle zorganizowany, z trzema diecezjami i jedną administraturą odwiedził Jan Paweł II. Komu się o tym śniło w roku 1958?

KRESY I PEEREL

B.P. – Jak w peerelu próbowano załatwiać zobowiązania wobec tej części społeczeństwa, które zostało odcięte na Kresach?

A.H. – Władze państwowe, w myśl założeń leninowskich prezentowały pogląd, że państwo komunistyczne nie rozróżnia narodowości, a zatem nie ma też problemu Polaków w ZSRS. Jedyną pomoc szła od rodzin, które wyjechały do PRL, ale też była ona ograniczana i oczywiście ściśle kontrolowana. Wspomnieć należy o tzw. drugiej „repatriacji” z lat 1955–1958, kiedy to głównie z Litwy i Białorusi wyjechało do PRL kilkaset tysięcy Polaków. Często byli to inteligenci, którzy przeżyli gehennę lat stalinowskich i kiedy tylko furtka na chwilę się otworzyła, skorzystali z pierwszej okazji, aby dalej nie mieszkać w „sowieckim raju”.

B.P. – Kiedy rozpoczął się ruch transgraniczny dający możliwości kontaktów między rodzinami?

A.H. – Do 1956 r. było to praktycznie niemożliwe, pierwsze wizyty miały miejsce po 1956 r. Kontakty były bardzo ograniczane i kontrolowane przez władze. A do tego można się było poruszać wyłącznie określoną marszrutą, bezwzględnie należało się meldować. Oczywiście ulegało to w dalszych latach zmianie na lepsze, pod koniec lat siedemdziesiątych bez większych kłopotów można było wyjeżdżać już na tzw. zaproszenia.

B.P. – Jest jeszcze jedna historia – przeniesienie Kresów do Polski. Myślę tutaj o utworzeniu środowisk kresowych w nowych granicach Polski

P.N. – Z analizy akt znajdujących się w IPN wynika, że w świadomości władzy istniał problem – „kresowiaczy”. Dla władz jest to bardzo groźne środowisko, w szczególności ludzie wywodzący się z Nowogródziny, Wileńszczyzny i Lwowszczyzny. W raportach UBP mówi się o środowiskach endecji, sanacji, oficerach II Oddziału, PSL-owcach, ale i o elemencie wileńskim czy lwowskim. Są traktowani jako osobna, szczególnie niebezpieczna grupa. Wilnian za szczególnie niebezpiecznych uznano wtedy,

gdy w 1948 r. rozbito eksterytorialny Okręg Wileński i okazało się, że jest to potężna organizacja. Wtedy właśnie zaczęto ewidencjonować wszystkich repatriantów zza Bugu. Każdemu Wilniukowi założono teczkę, wielu poddano obserwacji, którą niekiedy kończono dopiero w 1989 r. Gdy SB miało do zaopiniowania podanie o pracę, to pisano – w przeszłości niekarany, ale pochodzi ze środowiska wileńskiego. Był to element dyskryminujący. Początkowo rozbici, po 1956 r. Wilniuchy starają się skonsolidować, co znowu powoduje wielkie zaniepokojenie władzy. Jednym z najgorszych „przestępstw” były ich kontakty towarzyskie, spotkania z okazji imienin, urodzin, chrztów itd. Było to dla władzy niebezpieczne, odnotowywane i obserwowane, agentom zlecano skłócanie tego środowiska, żeby do takich spotkań dochodziło jak najrzadziej. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych próby upamiętnienia działalności AK nawet na terenie kościołów, zamawianie Mszy, stawianie nagrobków z informacją, że zmarły wywodzi się z wileńskiego AK spotykało się z przeciwdziałaniem SB. Ciągłe starano się te środowiska skłócać, puszczano plotki środowiskowe. Zwerbowani przez Służbę Bezpieczeństwa tajni współpracownicy oskarżali animatorów życia środowiskowego o współpracę z SB. Taki los spotkał m.in. Sabinę Korejwo, która integrowała środowisko 3. Brygady Wileńskiej. Uniemożliwiano spotkania interweniując w pracy, stosując kontrole drogowe lub przeprowadzając rozmowy ostrzegawcze. Na szeroką skalę stosowano podsłuch pokojowy, kontrolę korespondencji, wydział „B” prowadził obserwację.

A.H. – Gdańsk jest miastem, gdzie spotkały się grupy ze wszystkich regionów Kresów, od Wilna po Lwów. Są tu dziś obecne towarzystwa: Wołkowyszczan, Miłośników Polesia, Lwowianie, oczywiście Wilno i Wileńszczyzna. Bardzo wielu wybitnych ludzi, którzy urodzili się na Wschodzie, funkcjonowało i funkcjonuje w kulturze polskiej, nauce, w życiu społecznym było poza tymi stowarzyszeniami. Herbert, Niemen, Miłosz, Konwicki, Jurewicz, by wymienić kilka nazwisk różnych grup i pokoleń. Ciekawy przypadek to losy Walerego Tankiewiczza, urodzonego na Białorusi, w okolicach Lidy w początku lat sześćdziesiątych. Ojciec przeniósł rodzinę do Wilna, bo tam dzieci mogły uczyć się w polskich szkołach. Jakimś cudem rodzina otrzymała polskie obywatelstwo w latach siedemdziesiątych. Jeden przypadek na milion. Walery zrobił w Polsce maturę, skończył studia. Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości, wrócił tam, ożenił się z miejscową Polką, został dyrektorem Radia „Znad Wilii”. Zmęczony tamtejszymi stosunkami dokonał jeszcze jednej wołty życiowej i znów powrócił do Polski, pracuje obecnie w Porcie w Gdyni.

B.P. – Ważnym punktem w tożsamości ludzi tam żyjących był wybór Karola Wojtyły na papieża. Nie będzie chyba niesprawiedliwe wobec tych wszystkich ludzi i środowisk, które przez cały okres peerełowskiej smuty nie zapomniały o rodakach na Kresach, spieszyły przy każdej okazji z pomocą, że najważniejszym wydarzeniem w życiu kre-



sowej Polonii były wizyty papieskie w Wilnie, Lwowie i w Astanie. Te wizyty zwróciły im godność. Tak naprawdę dopiero wtedy Polacy, którzy heroicznie bronili swej religii, mowy, kultury zostali dostrzeżeni przez swoich rodaków w Polsce. To smutna konstatacja, ale jako społeczeństwo za mało o nich pamiętaliśmy przez te wszystkie lata. To można oczywiście próbować usprawiedliwić, ale do tej pory są ludzie, którzy niechętnie patrzą na przybyszy stamtąd.

A.H – Podtrzymywanie polskości, tradycji i kultury polskiej w warunkach ZSRS było obarczone dużo większym ryzykiem, groźbą surowych represji – z utratą życia włącznie, niż analogiczna postawa w PRL. Niejednokrotnie z ust Polaków ze Wschodu, ale niekoniecznie od osób stojących na czele polskich stowarzyszeń czy organizacji, słyszałem z dumą wypowiedziane zdanie: „to my przechowaliśmy najlepiej zachowanego ducha dawnej Polski, to my jeszcze potrafimy się do dziś bawić przy polskiej muzyce, zachowując dawne obyczaje, o których wy w Macierzy już nie pamiętacie”.



Adam Hlebowicz – ur. 1962, historyk, publicysta, dziennikarz. Absolwent historii KUL. Redaktor naczelny Radia Plus w Gdańsku. Członek Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Autor książek o Kościele katolickim i Polakach na Wschodzie m.in. *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice*, Pelplin 2004.



Tomasz Łabuszewski, ur. 1966, absolwent IHUW, dr historii, współautor (wraz z Kazimierzem Krajewskim, zob. niżej) obszernej pracy „Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. *Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)*. Specjalizuje się w dziejach podziemia niepodległościowego. Naczelnik OBEP IPN w Warszawie.



Piotr Niwiński – ur. 1966, absolwent KUL-u, uczeń prof. Tomasza Strzembosza, dr historii, kierownik RBN OBEP IPN w Gdańsku, adiunkt WNS Uniwersytetu Gdańskiego, autor m.in. *Okręg Wileński AK w latach 1944–1948*, Warszawa 1999; *Garnizon konspiracyjny m. Wilna 1939–1945*, Toruń 1999. Zajmuje się dziejami wileńskiej AK a także aparatem represji po II wojnie światowej.